

LEM

PAMIĘTNIK ZNALEZIONY
W WANNIE



...pokoju o numerze, na który opiewała przepustka, nie mogłem znaleźć. Trafiłem najpierw do Wydziału Werystycznego, potem do Wydziału Dezinformacji, gdzie jakiś urzędnik z Sekcji Ciśnień polecił mi udać się na ósme piętro, lecz tam nikt nie chciał nawet ze mną mówić; błądziłem pośród mnóstwa szarż, każdy korytarz pełen był energicznego stąpania, strzelania drzwiami i obcasami, a w te marsowe odgłosy wnikały szklaną muzyką dalekie dzwoneczki, jakby sankowych janczarów. Od czasu do czasu woźni przynosili parujące imbryki, wchodziłem omyłkowo do toalet, w których malowały się śpiesznie sekretarki, przebrani za windziarzy agenci ucinali ze mną pogawędki — jeden ze sztuczną protezą inwalidzką woził mnie tyle razy z piętra na piętro, że kiwał mi już z daleka, a nawet przestał mnie fotografować aparatem zatkniętym w klapę jako goździk. Koło południa zaczął mnie już tykać i pokazał swoją słabostkę — schowany pod podłogą windy magnetofon — ale, w coraz gorszym humorze, nie miałem do tego głowy.

Chodziłem uparcie od pokoju do pokoju i jak najęty zadawałem pytania, na które udzielano mi fałszywych odpowiedzi; znajdowałem się wciąż na zewnątrz ożywiającej Gmach nieustannej cyrkulacji tajności, ale musiałem przecież, u licha, wnikać w nią w którymś miejscu — dwa razy dostałem się mimo woli do podziemnego skarbca i przerzuciłem leżące na wierzchu tajne akta, ale i w nich nie odnalazłem najmniejszej

dla siebie wskazówki. Po kilku godzinach, porządnie już rozdrażniony i głodny, bo minęła pora obiadowa, a nie udało mi się znaleźć nawet kantyny, postanowiłem zastosować taktykę odmienną.

Pamiętałem, że najwięcej wysokich, siwych szarż przebywało na czwartym piętrze, pojechałem więc tam, przez drzwi z napisem TYLKO PO ZAMELDOWANIU dostałem się do podsekretariatu, chwilowo pustego, z niego — przez boczne wyjście, opatrzone hasłem PUKAĆ — do sali pełnej schnących planów mobilizacyjnych i tu stanąłem wobec problemu, bo wiodło z niej dwoje drzwi — jedno z tabliczką WYŁĄCZNIE DLA BALANSJERÓW, na drugich widniał napis NIE MA PRZEJŚCIA. Po namyśle otwarłem te drugie i okazało się, że dobrze zrobiłem, znalazłem się bowiem w sekretariacie głównodowodzącego, komenderała Kashenblade. Ponieważ wszedłem owymi drzwiami, oficer dyżurny, o nic nie pytając, zaprowadził mnie prosto do dowódcy.

I tu drgał w powietrzu szklany, łagodny dźwięk. Kashenblade mieszał herbatę. Był to potężny, łysy starzec. Twarz obwisłymi jak fartuch policzkami i fałdzistą skórą spod brody spoczywała na wyłogach munduru o naszywkach w kształcie galaktyk. Na biurku stały przed nim dwoma szeregami telefony, po ich bokach — aparaty zwiadowcze, pośrodku zaś — słoje noszące etykiety rozmaitych okazów, wszelako oprócz spirytusu niczego w nich nie dostrzegłem. Z nabrzmiałą żyłami łysiną zajęty był naciskaniem guzików, które powodowały zamilknięcie rozdzwaniającego się akurat telefonu. Gdy odzywały się po kilka naraz, uderzał pięścią w całą klawiaturę. Na mój widok palnął we wszystkie. Nastąpiła cisza, w której czas jakiś podzwiewkiwał łyżeczką.

— A, to wy! — rzucił. Głos miał potężny.

— Tak jest, to ja — odparłem.

— Czekaście, nie mówić, już ja mam pamięć — mruknął, przypatrując mi się spod krzaczasto nawis-

łych brwi. — X-27 retranspulsja kontrastellarna Cygni Eps, he?

— Nie — powiedziałem.

— Nie? A! No! Ba!! Morbilatrynx B-KuK osiemdziesiąt jeden, koma, operacja Gwózek? Bi jak Bipropoda?

— Nie — powiedziałem, próbując podsunąć mu przed oczy moje wezwanie, lecz odtrącił je niechętnie.

— Nnnie?... — mruknął. Wyglądał na urażonego w swej dumie. Zamyślił się. Zamieszał herbatę. Telefon dźwięknął. Zdławił go lwim ruchem.

— Plastykowy? — rzucił mi nagle w twarz.

— Niby ja? — spytałem. — Nie, raczej nie — zwyczajny...

Kashenblade jednym uderzeniem zdusił hałasujące od chwili telefonu i przyjrzał mi się raz jeszcze.

— Operacja Hyperbóg... Mammacyklogastrozaur... entā-ma, pentā-kla... — próbował jeszcze, nie chcąc pogodzić się z niespodzianą luką w swej nieomyślności, a gdy nie odpowiadałem, oparł się potężnymi dłońmi o klawisze i huknął:

— Jazda!!!

Wyglądało na to, że i on wyrzuca mnie za drzwi, ale byłem zbyt zdeterminowany — a także zbyt cywilny — aby usłuchać bez sprzeciwu. Stałem dalej z wyciągniętą przed siebie ręką, w której trzymałem wezwanie. Kashenblade wziął je wreszcie, nie patrząc, niby niechcący wrzucił do szczeliny stojącego przy nim aparatu, ten zaszumiał i zaczął doń szeptać. Kashenblade słuchał, słuchał, chmury szły mu przez twarz, błyski migotały w źrenicach. Zerknął na mnie spode łba i jał naciskać guziki. Najpierw rozdzwoniły się telefony w takiej liczbie, że powstała z tego konkretna muzyka; wyciszył ją i dalej naciskał. Okalająca go brygada aparatów na wyścigi przekrzykiwała się cyframi i kryptonimami. Trwał, nasepiony, wsłuchany, z drgającą powieką, ale widziałem już, że burza poszła bokiem. Zesupłał brwi i warknął:

— Dawajcie ten wasz świstek!

— Dałem już...

— Komu?

— Wam.

— Nam?

— Panu komenderałowi.

— Kiedy, gdzie?!

— Przed sekundą, tu go pan wrzu... — zacząłem, ale ugryzłem się w język.

Komenderał łypnął na mnie i wyszarpnął spodnią szufladkę aparatu. Była pusta. Bóg raczy wiedzieć, dokąd zawędrował już mój dokument; oczywiście ani mi w głowie powstało, że wrzucił go tam nieopatrznie. Już od pewnego czasu podejrzewałem, że Dowództwo Okręgu Kosmicznego, najwidoczniej zbyt rozrosłe, aby pilotować indywidualnie każdą z tryliona prowadzonych spraw, przeszło na system działań losowych, wychodząc z założenia, iż krążąc między miriadami jego biurtek, każdy akt musi wreszcie trafić na właściwe. Podobną metodą, czasochłonną, ale i niezawodną, działa sam Kosmos; dla instytucji równie jak on nieprzemijalnej — a taką był przecież Gmach — tempo owych obrotów i perturbacji nie mogło się naturalnie liczyć.

Jakkolwiek miały się rzeczy, wezwanie znikło. Kashenblade, zatrzasnąwszy z impetem szufladkę, patrzył na mnie czas jakiś, mrugając. Stałem bez ruchu, z opuszczonymi rękami, nieprzyjemnie odczuwając ich pustkę. Mrugał coraz natarczywiej — ja nie; zamrugał z pasją — odmrugnąłem wówczas i to go jakby uspokoiło.

— Nna... — zamruczał. Zaczął naciskać guziki. W aparatach zakotłowało się. Różnokolorowe taśmy były wypełzać z nich na biurko. Oddzierał z nich po kawałku, odczytywał, a czasem nie patrząc ciskał do innych aparatów, które robiły kopie, oryginały zaś szły do automatycznego kosza. Nareszcie z jednego wyszła biała folia z nadrukiem DO INSTRUKTAŻU

B — 66 — PAPRA — LEBE — złożonym tak wielkimi literami, że odczytałem je poprzez biurko.

— Będziecie... delegowani... w Misji... Specjalnej — rzucał miarowo komenderał. — Głęboka penetracja, sprawa o robotę wywrotową; byliście tam już? — spytał i mrugnął.

— Gdzie?

— Tam.

Podniósł głowę i raz jeszcze zatrzepotał powiekami. Nie odzywałem się.

Popatrzał na mnie z pogardą.

— Agent — powiedział wreszcie. — Agent, co?... Agent... dzisiejszy agent...

Z wolna zasepiał się. Przeciągał to słowo tak i owak, szydził nim, poświstywał, przepuszczał przez dziurę w zębie, znęcał się nad zgłoskami, naraz zdławił nerwowo telefony i wybuchnął:

— Wszystko trzeba wam tłumaczyć! Gazet nie czytacie?! Gwiazdy! No! Co gwiazdy? Co robią? No?!

— Świecą — rzekłem niepewnie.

— I to ma być agent!!! Świecą! Ba! Jak?! Jak świecą?! Co? No?!

Dawał mi znaki powiekami.

— M...mrugają — rzekłem, zniżając mimo woli głos.

— Jaki domyślny! Nareszcie! Mrugają! Tak! Podmrugują! A kiedy? Co?! Nie wiecie?! Naturalnie!!! Taki materiał mi tu przysyłają! Nocą! Nocą!!! Mrugają, trzęsą się, po ciemku! Co to jest? Kto mruga?! Kto nocą?! Kto się trzęsie?!

Ryczał jak lew. Stałem blady, wyprostowany jak struna, czekając, aż burza przejdzie, ale nie przechodziła. Kashenblade, posiniały, obrzękły, z napuczoną łysiną, grzmiał na cały gabinet, na cały gmach:

— A ucieczka mgławic?! Co?! Nie słyszeliście?! Ucieczka!!! Co to jest?! Kto ucieka?! To jest podejrzane, więcej — to jest przyznanie się do winy!!!

Zdruzgotał mnie wzrokiem, bez tchu, nareszcie

opuścił ciężko powieki i cisnął zdecydowanie stalowym głosem:

— Bałwan!

— Pan się zapomina, panie komenderale! — wypaliłem.

— Co? Co?! Pan się... a? Pan się zapo... Co to jest? A! Hasło! Hasło, dobrze. Tak — to co innego. Hasło — to hasło...

Począł gwałtownie wbijać palce w klawiaturę. Aparaty zaszumiały jak deszcz na blaszanym dachu. Wylatywały z nich wstęgi zielone i złote, drżąc, skręcały się w zwoje na biurku. Starzec czytał je zachłannie.

— Dobrze! — zakonkludował, mnąc wszystkie. — Wasza misja: zbadać na miejscu, sprawdzić, przeszkącać, ewentualnie sprowokować, donieść. Kropka. W dniu N o godzinie entej, w entym sektorze entego rejonu zostaniecie wyentowani z pokładu jednostki N. Kropka. Grupa uposażeniowa kryptonim Berbec, diety planetarne z culagą tlenową, rozrachunek sporadyczny, w zależności od wagi doniesień. Meldować bieżąco. Łączność en-lu-meniczna, maskownik formatu Lyra-PiP, jeśli polegniecie w akcji — pośmiertne odznaczenie Orderem Tajnego Stopnia, pełne honory, salut, płyta ku czci, z wciągnięciem pochwalnym do akt... Będzie?! — cisnął ostatnie słowo.

— A jeśli nie polegnę?... — spytałem.

Szeroki, pobłażliwy uśmiech rozjaśnił twarz komenderała.

— Rezonner — powiedział. — Rezonner, co? He he... rezonner... jeśli tego, to ten... Dość! U mnie nie ma „jeśli”! Misję dostałeś? Dostałeś! Basta! A wiesz ty, co to jest? He?! — wyrzucił z szerokiej piersi. Policzki zafalowały mu łagodnie, blask przeszedł przez złote czworoboki orderów. — Misja — to wielka rzecz! No, a Specjalna — ba! Specjalna! No! W dobrej entej godzinie! Ruszaj, chłopcze, a nie daj się zgnoić!

— Będę się starał — odparłem — a moje zadanie? Nacisnął kilka guzików, zasluchał się w dzwonki te-

lefonów, wygasił je. Pociemniała przedtem łysina różowiła powoli. Patrzył na mnie dobrotliwie jak ojciec.

— Nader! — rzekł. — Nader niebezpieczne! Ale nie to! Nie dla siebie! Nie ja wysyłam! Ogól! Dobro! Oj, ty, ty... enty... trudna sprawa... trudne ciało dostałeś! Zobaczysz! Trudne, ale trzeba, bo, bo ten...

— Służba — poddałem szybko.

Rozpromienił się. Wstał. Zakołysały się u piersi order, zadzwoniły, aparaty i telefony umilkły, światelka zgasły. Ciągnąc za sobą splecione różnokolorowe kabelki, podszedł do mnie i podał mi potężną, owłosioną, starczą dłoń stratega. Nawiercał mnie oczami, próbował, brwi zesunęły mu się, tworząc wypukłe wzgórki, podparte fałdami mniejszymi nieco, i tak staliśmy, spojeni uściskiem — głównodowodzący i tajny kurier.

— Służba! — rzekł. — Twarda. Służba, mój chłopcze! Służba... bywaj!!!

Zasalutowałem, zrobiłem zwrot w tył i wyszedłem, słysząc jeszcze u drzwi, jak pije wyziębłą herbatę. Potężny to był starzec — Kashenblade...

Конец ознакомительного фрагмента

Уважаемый читатель!

Размещение полного текста данного произведения
невозможно в связи с ограничениями по IV части ГК
РФ

Эту книгу вы можете прочитать
в Оренбургской областной универсальной
научной библиотеке им. Н.К. Крупской
по адресу: г. Оренбург,
ул. Советская 20 тел.: для справок: (3532) 61-60-30